

# GRAY AFTER DARK

NOELLE W. IHLI

Thriller  
zainspirowany  
prawdziwymi  
wydarzeniami.



*Gray After Dark*  
Noelle W. Ihli

Tytuł oryginału: *Gray After Dark*

Copyright © Noelle West Ihli

All rights reserved

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2025

Copyright © for the translation by Iwona Dziemidowicz

Opieka wydawnicza: Alicja Konieczka

Opieka redakcyjna: Anna Malocha, Dagmara Małysza

Przyjęcie tłumaczenia: Dagmara Małysza

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Pracownia 12A

Projekt okładki: Monika Drobnik-Słocińska

Ilustracja na okładce: Maciej Kamuda

ISBN 978-83-8135-422-6

Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych osób, zdarzeń i istniejących miejsc jest przypadkowe. Postacie i zdarzenia pojawiające się w tej książce są dziełem wyobraźni.



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

„Noelle W. Ihli ugruntowała swoją pozycję królowej thrillerów. Każda jej powieść dostarcza czytelnikom rozrywki pełnej napięcia i nieustającej akcji, a jej bohaterkom chce się bicować. *Gray After Dark* to jak dotąd jej najlepsze dzieło”.

Faith Gardner, autorka *The Prediction*

„Od powieści *Gray After Dark* nie sposób się oderwać. Jest emocjonująca, wciągająca i pełna zwrotów akcji, a losy jej bohaterów od pierwszej strony przyciągnęły moją uwagę”.

Steph Nelson, autorka *The Final Scene*

„*Gray After Dark* to jazda bez trzymanki, podczas której zgrzytałem zębami z nerwów. Ze swoją wciągającą fabułą, niesamowitą scenerią oraz fascynującymi i bezwzględными bohaterami zapiera dech w piersiach. To niezwykła opowieść o przetrwaniu, której długo nie zapomnę”.

Caleb Stephens, nagradzany pisarz,  
autor *The Girls in the Cabin*

„*Gray After Dark* dowodzi, że Ihli jest mistrzynią thrillerów. Po raz kolejny autorka pokazuje, że potrafi nie tylko budować napięcie, ale także ukazywać emocje chwytające za serce. Olbrzymi rezerwat Frank Church, który odgrywa nie mniejszą rolę niż bohaterowie, jest idealnym miejscem akcji dla tej opowieści o sile charakteru i determinacji. Nie oderwiecie się od tej książki! I nawet kiedy jej przejmujące zakończenie będziecie mieć już za sobą, ta historia zostanie z wami na zawsze”.

Brett Mitchell Kent, autor *Whispers of Apple Blossoms* oraz współprowadzący podcastu *Cutthroat Queens Podcast*

„Czapki z głów! To moja nowa ulubiona powieść Noelle W. Ihli. Obgryzałam paznokcie z nerwów od pierwszej do ostatniej strony i było to wspaniałe przeżycie”.

SavvyvvyReads

Ostrzeżenie o treści: powieść zawiera opisy poronienia, niepłodności, a także różnych form przemocy: domowej, seksualnej oraz z użyciem broni.

*Dla Kari i Alana*

# **MILEY**

**REZERWAT FRANK CHURCH WILDERNESS,  
IDAHO**

*WRZESIEŃ 2022*

Przywarłam mocniej do pnia dużej sosny i wytężyłam słuch. Wiał chłodny wiatr. Drzewa wokół chaty trzeszczały, wydawało się, jakby szeptały ostrzeżenia. W podszyciu coś szeleściło: były to zapewne leśne stworzenia, te widoczne i niewidoczne. Niektóre były łowcami, inne ofiarami, a zdarzały się też łowcy i ofiary w jednym.

Żadnych kroków, żadnych głosów.

Co tak długo?

Zapadł już wczesny zmierzch i niebo przybrało barwę pobijanej śliwki. Gdzieś na horyzoncie wciąż majaczyło blade indygo, ale szybko się kurczyło. Miałam może godzinę, zanim zrobi się całkowicie ciemno. Okrągły księżyc wychynął zza drzew. Był jak reflektor na scenie, który swoim światłem prowokował mnie do wyjścia z ukrycia. Zaryzykować i uciec, zanim zorientują się, co się dzieje.

Jeszcze nie. To była moja ostatnia szansa. Czułam to.

Jeśli ją zmarnuję, wszyscy dzisiaj zginieemy.

Wstrząsnął mną silny dreszcz. Miałam na sobie cienką sukienkę z długimi rękawami, która szeleściła przy najmniejszym ruchu. Sztywny i brzydki materiał powinien przynajmniej

dawać mi trochę ciepła, ale zamiast tego miałam wrażenie, że wchłania całe zimno i przyciąga je do mojej skóry. Jak tylko słońce zaszło za najbliższą górę, zrobiło się chłodniej. Za parę godzin temperatura będzie bliska zera.

Do tego czasu już mnie tu nie będzie.

Albo będę przedzierała się przez las w morderczym biegu, albo będę martwa.

Wiele mnie kosztowało, żeby nie osunąć się na ziemię pod olbrzymim drzewem. Chciałam zamknąć oczy, choćby na minutę. Ale jeśli to zrobię, mięśnie w moich nogach za bardzo ostygną i nie będę w stanie biec, kiedy przyjdzie czas.

Nie mogłam na to pozwolić.

Nigdy, odkąd mnie tu zabrali, nie byłam tak bliska ucieczki. Wyobrażałam sobie ten moment wiele razy: adrenalina, desperacja przyprawiająca o zawrót głowy, strach. Ale nie to obeszczepiające zwątpienie, przez które moje stopy w samych skarpetkach wrosły w poszycie leśne.

Wpatrywałam się w pień drzewa z taką intensywnością, że wzór na korze zaczynał się zamazywać i co chwila traciłam ostrość widzenia. Oddychaj, upomniałam samą siebie, nasłuchuj, czekaj, a potem biegnij.

Wdech, dwa, trzy, cztery... Schowałam twarz w materiał sukienki, żeby para z ust nie zdradziła mojego położenia. Wydech, dwa, trzy, cztery.

Gdzie byli mężczyźni, do cholery? Czemu trwało to tak długo?

Mocno zacisnęłam powieki i skupiłam się na oddychaniu, żeby uspokoić walące serce. Jeszcze tylko trochę.

Łup.

Gwałtownie otworzyłam oczy na dźwięk trzaskających drzwi chaty. Po chwili usłyszałam kroki.

– Ruthie Sue! – zagrzemiał Hamish. Jego wściekły głos dobiegał z daleka. Pewnie stał na ganku. Lepiej, żebym nie próbowała wyglądać zza drzewa. Jeśli patrzył w moim kierunku, mógłby zauważyć ruch po drugiej stronie polany.

A jeśli Fred ma lunetę, na pewno mnie zobaczy.

Zduślam napływ adrenaliny, który kazał mi popędzić przez las. Znowu zasłoniłam usta ramieniem, żeby para nie wydo-  
stała się na zewnątrz.

W ciszy rozległ się głos Freda, niższy i bardziej nieprzy-  
jemny od Hamisha:

- Ruthie Sue! - zawołał, jakbym była psem, który przy-  
biegnie na ich zawołanie. - Mówiłem ci, że nie była jeszcze  
ujarzmiona - wyszczał.

- Znajdziemy ją - powiedział ze spokojem Hamish.

Znałam ten ton. Przerzązał mnie bardziej, niż gdyby sza-  
łał z wściekłości.

Sosnowe igły chrzęściły pod ich ciężkimi krokami, kiedy  
szli przez polanę w moją stronę.

Staralam się oddychać równo, co przychodziło mi z tru-  
dem, gdy strach coraz mocniej zaciskał się wokół mojego gard-  
ła, a w żyłach zamiast krwi płynęła lodowata woda.

- Ruthie Sue - zanucił Fred, zmieniając taktykę. - Jeśli  
uciekiesz, umrzesz w tym lesie - dodał równie przymilnie.

Zacisnęłam zęby. Byłam ich zwierzątkiem od paru miesię-  
cy, a i tak nic o mnie nie wiedzieli.

Ostrożnie wychyliłam się na parę centymetrów, żeby móc  
ich zobaczyć. Musiałam wiedzieć, gdzie dokładnie się znajdują.

Rzut oka wystarczył, żebym dostrzegła ich tak znajome  
zaniedbane brody. Ciężkie płaszcze. Grube trapery. Strzelby  
zawieszane u boku. Byli jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie  
i szybko się zbliżali.

Jeśli któryś z nich spojrzalby na tę wielką sosnę, przy któ-  
rej stałam, też by mnie zobaczył.

Chudszy cień zatrzymał się obok pompy. To Hamish. Wy-  
szeptał coś, czego nie zdołałam usłyszeć.

Zrobiłam krok zza drzewa.

Teraz albo nigdy.

# **CZĘŚĆ 1**

*TRZY MIESIĄCE WCZEŚNIEJ*

ROZDZIAŁ 1

**MILEY**

REZERWAT FRANK CHURCH WILDERNESS,  
IDAHO

*CZERWIEC 2022*

Moje stopy uderzały o nieutwardzoną drogę leśną służącą kiedyś do transportu drewna.

Próbowałam skupić się na rytmie tych uderzeń, na gęstym lesie szumiącym wokół mnie, na kwaśnym posmaku w ustach po porannej kawie.

Ale nic to nie dawało. Wciąż myślałam o barku – ból pulsował i dawał o sobie znać przy każdym kroku.

– To wszystko jest w twojej głowie – wyszczałam.

Tak albo w podobnym stylu wypowiadała się Sara, moja psycholożka sportu. Mówiła: „psychosomatyczny”, „patologiczne poczucie winy”, „trauma”. Ten medyczny żargon oznaczał mniej więcej tyle, że mój układ nerwowy mnie okłamuje, odkąd parę lat temu w wypadku zwichnęłam bark i złamałam rękę. Atakuje mnie bólem psychogennym, który jednak wydaje się cholernie prawdziwy. Sara poleciła mi terapeutkę w Boise, ale jeszcze do niej nie zadzwoniłam.

Nie czułam potrzeby odgrzebywania starych wspomnień. Potrzebowałam natomiast miejsca na podium podczas Zimowych Igrzysk Olimpijskich 2026. Miałam w sumie trzy i pół roku, żeby wrócić do gry i zrobić ze swojego

ciała dobrze naoliwioną maszynę, jaką było przed wypadkiem.

Musiałam wygrać, żeby cały ten ból i wysiłek nie poszły na marne.

Mówiąc szczerze, już dużo udało mi się nadrobić. Czasy wciąż miałam fatalne, ale kondycję coraz lepszą. Gdyby nie ten przeklęty bark, byłabym pewna, że dam radę kiedyś odzyskać formę.

To przejdzie, mówiłam sobie, kiedy ból się nasilał, i udawałam, że wcale nie powtarzam tej samej śpiewki od lat. Przecież skoro ból nie był prawdziwy, to w końcu minie, tłumaczyłam sobie.

Dotarłam do płaskiego odcinka trasy. Sosny ustąpiły tu miejsca łące. Przyspieszyłam. Długi warkocz rozkołysał się i zaczął mocniej objąć mi się o plecy. Oślepiające poranne słońce było przyjemną odmianą po biegu w chłodzie ocienionego lasu. Choć dni były gorące, to w nocy i rano robiło się na tyle zimno, że trzeba było włożyć kurtkę.

Pierwszy raz byłam we Frank Church Wilderness, mimo że w Idaho się urodziłam i wychowałam. Rezerwat rozciągał się na powierzchni ponad dziewięciu tysięcy kilometrów kwadratowych, co oznaczało, że był to największy kompleks leśny na terenie USA. Ja mogłam podziwiać jego majestatyczność tylko podczas porannego biegania, bo kiedy pierwsi goście pojawiają się w przyszłym tygodniu w Hidden Springs, będę spędzać większość czasu w kuchni.

Nie miałam nic przeciwko temu. Przyjechałam tu, żeby trochę zarobić i potrenować w terenie. W Hidden Springs Resort sezon trwał krótko: cztery miesiące, od końca czerwca do października. Luksusowy hotel i jego dostojni goście to nie moja bajka. Ale razem z brudnymi naczyniami i długimi dniami dostałam w pakiecie nieskończoną liczbę szlaków do przebycia, więc jesienią będę mogła zacząć trenować pełną parą. Nie mam zamiaru być słabym ogniwem podczas igrzysk we Włoszech. Do diabła z bólem psychogenym!

Minęłam gęsty sosnowy zagajnik, gdzie jakiś ptaszek śpiewał wesoło. Bark pulsował coraz mocniej. Ból nie odpuszczał.

„Nie walcz z bólem, współpracuj z nim” – Sara mówiła to tyle razy, że znaczenie tych słów już ledwo do mnie docierało. Próbowалам, naprawdę, przysięgam, ale w takie dni jak dzisiaj miałam wrażenie, że ból tylko się pogarszał.

Szlak zawijał z powrotem w mrok gęstych drzew, a następnie gwałtownie opadał. Przyspieszyłam, dzielnie walcząc z bólem, który przesywał mój stożek rotatorów. Zaplanowałam tę trasę w dniu przyjazdu do Hidden Springs, jak tylko rozpakowałam się w malutkim domku dla personelu. Miałam nadzieję, że wykorzystam ostatni tydzień martwego sezonu na biegi wytrzymałościowe. Jednak właścicielka, Jennifer, postanowiła pokazać mi cały kompleks. Było to chyba najdłuższe oprowadzanie w dziejach świata. Przedstawiła mnie każdej żywej istocie w promieniu dziesięciu kilometrów, a następnie wysłała na szkolenie w kuchni. Bezpośrednia obsługa gości hotelowych nie należała do moich obowiązków. Nie spodziewałam się jednak, że aż tyle trzeba się nauczyć, żeby pracować na zapleczu. Nie bez powodu hotel był tak wysoko oceniany – każde zadanie, w tym mycie naczyń, podlegało rygorystycznym procedurom.

Spojrzałam na górskie szczyty, wciąż upstrzone plamami śniegu, i pomyślałam sobie, jak wspaniale byłoby teraz wziąć lodowatą kąpiel – dobrze by to zrobiło moim zmęczonym mięśniom. Oprócz odgłosów butów uderzających o podłogę i miarowego oddechu słyszałam też bulgotanie wody, ale wciąż nie mogłam dojrzeć rzeki, kryjącej się gdzieś w tym gęstym lesie.

Według mapy, którą przeglądałam w porannych ciemnościach, rzeka prowadziła do małego alpejskiego jeziora. Powinno się ono znajdować zaraz za półmetkiem mojego dziesięciokilometrowego biegu. Liczyłam na to, bo naprawdę marzyłam o zrzuceniu ubrań i zanurzeniu się w lodowatej wodzie.

Jeśli wytrzymam jeszcze trochę, kąpiel będzie moją nagrodą za to mordercze tempo. Nie musiałam się martwić, że napotkam jakiegoś turystę – po niedawnych wiosennych roztopach ziemia była wciąż zbyt miękka na kemping. Miałam puszczyć tylko dla siebie.

Ślzak skręcił gwałtownie w lewo w gęste zarośla osiki. Kiedy znalazłam się ponownie na prostym odcinku drogi, kątem oka zobaczyłam jakiś ruch.

Olbrzymi puchacz wzbil się do lotu tuż przede mną: wystrzelił z krzaków po lewej, bezgłośnie trzepocząc rozłożystymi szarymi skrzydłami.

Zatrzymałam się w samą porę, żeby uniknąć zderzenia. Serce mi waliło.

Puchacz usiadł na gałęzi zaledwie kilka metrów dalej, po czym obrócił głowę w moją stronę, wydał niski gardłowy dźwięk i nastroszył pióra.

– Cześć – powiedziałam cicho, zapominając o bolącym barku. – Piękny jesteś.

Podziwiałam tego cudownego ptaka, ale stopniowo mój uśmiech gasł. Pierwszą osobą, której chciałam o tym opowiedzieć – a jednocześnie jedyną, której nie mogłam – była moja mama.

Nieważne, ile saren, lisów czy sów spotkałyśmy podczas chodzenia po górach lub jazdy na nartach – na jej twarzy zawsze pojawiały się te same emocje: szczery zachwyty, czysta radość. Na widok każdego zwierzęcia. Za każdym razem. „Zobacz, Miley, zobacz”, szeptała do mnie.

Zawsze żartowałam sobie z tego jej zwyczaju, mimo że bardzo go lubiłam.

Świadomość, że nigdy więcej nie zobaczę jej zachwyty, i to z własnej winy, sprawiała mi ogromny ból. Wiedziałam, że ten akurat nigdy nie minie.

Bark, o którym prawie zapomniałam, zapiekł ze zdwojoną siłą, ale zebrałam się w sobie. W moim miarowym oddechu

pojawiło się szarpanie, które powinno zniknąć, jeśli tylko będę cisnąć dalej. Zawsze tak było.

Ledwo ruszyłam, kiedy nagle usłyszałam dziwny dźwięk i stanęłam jak wryta. Dochodził z krzaków, z których przed chwilą wyleciała sowa. Od tego cichego pisku zjeżyły mi się spoczone włoski na karku.

W trawie poruszyły się jakieś cienie. Odskokczyłam.

Malutki zajęc z półotwartymi oczami i sierścią sklejoną krwią leżał rozciągnięty na boku.

Żołądek podszedł mi do gardła. Wbiłam wzrok z powrotem w puchacza.

Siedział nieruchomo i wpatrywał się we mnie – a także w zająca, którego przeze mnie porzucił i wydał na pastwę losu okrutniejszego niż szybkie cięcie czarnym dziobem ostrym jak brzytwa.

– Przykro mi – wyszeptalam, rozdarta pomiędzy koniecznością skrócenia jego cierpienia a zostawieniem go sowie na pożarcie. Jeśli przepłoszę puchacza, śmierć zwierzątka będę miała na swoim sumieniu.

Wiedziałam, że tego nie udźwignę.

Wdech, dwa, trzy, cztery. Wydech, dwa, trzy, cztery. Wyrzuciłam ten okropny widok z głowy i ruszyłam, nie oglądając się za siebie.

Jeśli będę bieć wystarczająco długo i oddychać miarowo, pozbędę się mdłości.

Nie zatrzymałam się na półmetku na rozciąganie, tylko zmusiłam się do dalszego biegu. Do jeziora brakowało zaledwie czterystu metrów, a ja jak nigdy dotąd potrzebowałam szoku, jaki daje lodowata woda.

Na ostatniej prostej zaczęłam skupiać się znowu na oddechu, żeby obniżyć tętno – czyli odwrotność tego, do czego dążyło moje ciało. W biathlonie ta część wyścigu nazywa się „cut”. Zamiast adidasów miałabym na nogach narty biegowe, a na plecach karabinek zamiast butelki z wodą. Jeśli przed

dotarciem do stanowiska strzeleckiego tętno się nie uspokoi, ręce będą drżeć, a to uniemożliwi oddanie celnego strzału.

Prawie niewykonalne. Prawie.

Moją dyscypliną była sztafeta mieszana cztery razy sześć kilometrów. Najpierw zawodnik pokonuje sześciokilometrowy odcinek, potem odrzuca kijki, ładuje karabinek, przyjmuje pozycję, celuje, strzela, przeładowuje. I tak do momentu, aż trafi do wszystkich pięciu tarcz albo skończy mu się amunicja. Jeśli zacznie uspokajać oddech dopiero na stanowisku strzeleckim, będzie już za późno. A jeśli spudłuje – dostanie rundę karną.

Nikt nie wierzył, że wrócę po wypadku. Nawet ja. Kiedy zaledwie kilka miesięcy później (a kilka tygodni po tym, jak straciłam szansę na start na igrzyskach w Pjongczangu) ogłosiłam, że przygotowuję się do igrzysk w Pekinie, nikt się nie cieszył i nie otwierał szampana. Były tylko niedowierzające spojrzenia i mnóstwo: „Jesteś pewna?” i „To świetnie”. W głębi duszy też w siebie wątpiłam. Gdyby nie Brent, prawdopodobnie odeszłabym z podkulonym ogonem i zapadła się w swój ból.

Igrzyska w Pekinie nie były żadną pielgrzymką po odkupieniu. Okazały się totalną klapą. Wystarczyły jednak, żeby mnie zdeterminować. Żebym się wściekła. Żeby wzniecony we mnie ogień rozproszył mgłę, w której żyłam, i żebym dostrzegła, na co mnie jeszcze stać.

Utrzymując równe tempo, weszłam w tryb uspokajania. Odruchowo spojrzalam na sosny, żeby ocenić, w którym kierunku wieje wiatr. Na wschód. Gdybym miała karabinek, szacowałabym właśnie, jak muszę skorygować celownik, żeby dostosować się do warunków.

Kiedy dotarłam na skraj mroźnego jeziora, zatrzymałam się. Stałam bez ruchu, zmuszając oddech do wykonywania moich poleceń. Wdech, dwa, trzy, cztery. Wydech, dwa, trzy, cztery. Wolniej. Wolniej.

Jeziro było długie i wąskie, otoczone poszarpanymi szczytami i kamienistymi pagórkami. Wyglądało jak cięty kryształ – było ostre i oślepiające. W powietrzu unosiła się woń sosnowych igieł, zbutwiałych liści i grubego piasku na brzegu. W lesie było cicho, jedynie lekki wietrzyk poruszał liśćmi, a gdzieś w oddali bulgotała rzeka wpadająca do jeziora.

Nie ruszałam się z miejsca przez dwadzieścia sekund.

Potem, zamiast wziąć do ręki wymyśloną broń, rozebrałam się i zanurzyłam w lodowatej wodzie.